



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

## Król gór i skał.

**W**spaniała budowa ciała, niezmierna siła wzlotu i przeświadczenie o swej potędze widne w poważnej, a zarazem zuchwałej postaci orła, zyskały mu od dawna miano króla ptaków, i skłoniły wielu władców ludów wojowniczych, między innymi starożytnych Persów i Rzymian, do obrania go za widome swe godło, za symbol potęgi i świetności.

Często też stawiano orła za wzór szlachetności, przypisując mu przymioty, jakich ptak ten z natury swej wielce drapieżny a więc i okrutny, posiadać nie może. Dziś też jest już rzeczą stwierdzoną, że orły to potężne, krwiożercze bezwzględne rozbójniki, to najstraszniejsi wrogowie zwierząt i ptaków, od sarny, gemzy i antylopy, do królika i świstaka, od łabędzia i dropia, do małego skowronka.

To też gdy orzeł spuszcza się w doliny z wyżyn skalnych, na których ściele swe gniazdo i silny głos jego, podobny do krakania

jastrzębia zabrzmni w powietrzu, każdy zwierz i ptak szuka w największym popłochu bezpiecznego ukrycia, bo tylko ucieczka obronić go może przed siłą skrzydeł i szponów drapieżnika. A nawet ucieczka ta nie jest łatwa, bo orzeł spada lotem błyskawicy, zaznaczając się w powietrzu za-

ledwie jako mały, ciemny punkcik — a porwawszy w szpony swą zdobycz, znika równie szybko, jak się ukazał.

Tak niebezpiecznego wroga wszelkiej zwierzyny, starają się mieszkańcy krajów górzystych tępić o ile możliwości, jakkolwiek są to trudne i nierzadko z niebezpieczeństwem połączone łowy.

Jedną z takich myśliwskich scen, rozgrywających się w wyżynach alpejskich, przedstawia nasza rycina.

Kilku nieustraszonych górali, wypatrywszy gniazdo orle, wdarło się na skały, by wybrać pisklęta, lecz zanim jeszcze zdążyli ująć z cenną zdobyczą, zostali napadnięci przez parę starych, usiłujących pomścić wyrządzoną sobie krzywdę.

Tak rozpoczęta walka mogłaby się dla śmiałków bardzo smutnie zakończyć,



gdyby nie byli zaopatrzeni w broń palną, której strzały powaliły skrzydlatych mocarzy.

M. D.

## Pogadanki z dziedziny chemii.

### XII. Dla czego pierwiastki wstępują ze sobą w związki w pewnych stosunkach wagowych?

Poznawszy dziwne zachowanie się względem siebie pierwiastków chemicznych i sposób działania na nie siły przyciągającej, musimy teraz zadać sobie trud i oznaczyć w ścisłych liczbach, jaką ilość danego pierwiastku wziąć potrzeba, ażeby jego siła przyciągająca wynosiła akurat tyle co siła przyciągająca 100 gramów tlenu.

Biorąc węgiel, dochodzimy na zasadzie doświadczeń do przekonania, że 75 gramów tego pierwiastku łącząc się ze 100 grami tlenu tworzą 175 gramów t. zw. tlenku węgla czyli czadu, który często jest przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Z tego wypływa, że 75 gramów węgla ma taką samą siłę chemiczną co 100 gramów tlenu, 12<sup>1</sup>/<sub>2</sub> gramów wodoru, albo 440 gramów chloru.

Robiąc próby z siarką widzimy, że ma ona dwa razy mniejszą siłę przyciągającą aniżeli tlen, to znaczy, że dla nasycenia 100 gramów tlenu trzeba wziąć 200 gr. siarki. Fosfor ma prawie 4 razy mniejszą siłę przyciągającą, od tlenu, trzeba go więc wziąć 400 gramów, chcąc zrównoważyć siłę przyciągającą 100 gramów tlenu. Do tego samego celu musielibyśmy wziąć 170 gramów azotu i 290 gramów sodu. Z tego wynika, że 290 gramów sodu posiadają taką samą siłę przyciągającą, co 400 gramów chloru, gdyż powyższe ilości obu tych pierwiastków nasycają 100 gramów tlenu. Doświadczenie popiera ten wniosek, gdyż rzeczywistość 440 gramów chloru łącząc się z 290 gramami sodu, daje 730 gramów soli kuchennej.

Nie powinniśmy się więc dziwić, jeżeli chemik potrzebuje tylko zważyć ściśle garść soli, ażeby powiedzieć, ile zawiera ona sodu, a ile chloru.

Chcemy tutaj przytoczyć jeszcze kilka innych znanych pierwiastków i postawić obok nich liczby, oznaczające, ile gramów każdego z tych ciał trzeba wziąć, ażeby nasycić siłę przyciągającą 100 gramów tlenu.

Otóż doświadczenia wykazały, iż żelaza trzeba wziąć 350 gramów, cynku 509, cyny 737, ołowiu 1294, miedzi 396, rtęci 1250, srebra 1350, złota zaś 2462 gramy.

W liczbach tych uderza nas ta ważna okoliczność, że pierwotnie stosowaliśmy je tylko do tlenu, tymczasem pokazało się, że mają one jednakowe znaczenie dla związków pomiędzy wszystkimi pierwiastkami. Przypuśćmy, że ktoś chce zrobić cynober, piękną czerwoną farbę, bardzo cenioną przez malarzy; w takim razie ile trzeba wziąć siarki, a ile rtęci? Ścisłą odpowiedź na to pytanie znajdziemy w powyższych liczbach: 200 części siarki, jak już powiedziano, mają siłę przyciągającą 100 części tlenu; 1250 części rtęci mają siłę przyciągającą także 100 części tlenu, z tego więc wynika, że 200 części siarki trzeba połączyć z 1250 częściami rtęci, ażeby otrzymać cynober.

Podobnie moglibyśmy obliczyć, w jakim stosunku łączą się pomiędzy sobą inne pierwiastki. Jest więc jasne, że wszystkie chemiczne pierwiastki znajdują się w ściśle określonym stosunku względem siebie, tak, iż chcąc otrzymać pewne chemiczne działanie, możemy zastępować dany pierwiastek innym, byleby tylko brać go w odpowiedniej ilości.

Taki stan rzeczy nie może być jednak przypadkowym, lecz musi wskazywać na istnienie ścisłego prawa przyrody. Trudno przecież przypuścić, żeby prosty przypadek sprawiał, że 200 gramów siarki łączy się zawsze z 1250 gramami rtęci. Musi drzemać tutaj jakaś siła, która sprawia, że wszystkie związki chemiczne odbywają się prawidłowo wtedy tylko, jeżeli dwa pierwiastki weźmiemy w takich ilościach, ażeby siły przyciągające były równe.

Wl. U.



H. G. Wells.

## PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



Spojrzałem z niepokojem na dom, w którym mieszkałem, wiatr zerwał z dachu komin i ani jednej szyby nie pozostał w oknach, zresztą dom stał na swoim miejscu.

Powoli poszedłem szukać Cavora w tę stronę, gdzie mi zniknął z oczu. Z poza osmalonych drzew małego gaiku, widać było dom jego w płomieniach, ale Cavora ani śladu. Strasznie zaniepokojony szedłem w stronę płonącego domu, a zbliżywszy się, zobaczyłem pod murem ogrodu stos połamanych gałęzi, opalonych liści pomieszanych z błotem; wśród tego wszystkiego coś się ruszało. Poskoczyłem żywo naprzód i w tej samej chwili podobny do obłoczonej beczułki, Cavor na swych cienkich nóżkach wyłonił się z tego rumowiska.

Boże, jak on wyglądał! Cały oblepiony błotem, w podartem ubraniu, przecierał oczy zasypane kurzawą. Pomimo tego twarz miał rozpromienioną, a ujrawszy mnie, wyciągnął zabloconą rękę i zawołał:

- Powinszuj mi pan, powinszuj!
- Winszować panu czego? — odrzekłem zdziwiony.
- Jest, jest Cavorit!
- Cavorit? Ale co spowodowało ten wybuch?

Zamyślił się i zaczął coś mówić półgłosem do siebie o męczennikach nauki, gdyż sądził, że trzech jego robotnicy zginęli z powodu wybuchu, a oni, jak się później okazało, zaraz po wyjściu z domu Cavora, poszli na szklanę piwa, i w chwili wybuchu nie było w domu żywej duszy.

Prosiłem Cavora, aby poszedł do mnie, bo o ratowaniu jego domu nie było już co myśleć.

Wzięłem go za ramię i obadwaj chwiejąc się trochę na nogach i potykając, przyszlismy do mego porządnie uszkodzonego mieszkania.

Cavor wciąż był zamyślony, w końcu rzekł:

— To powinno było nastąpić, taki musiał być ostateczny rezultat, udało mi się wyśmienicie!

Zdziwiony tem jego zadowoleniem, rzekłem:

„Nie wiem, czy się udało wyśmienicie, gdyż wybuch spustoszył okolicę na parę mil dokoła (przyp. tłum).

— Ale cóż to znaczy w porównaniu z tem wielkiem odkryciem — odrzekł wesoło. — Prawda, że nie przewidziałem, iż wybuch może być tak gwałtowny, ale wszystkie te straty są drobnostką wobec tej olbrzymiej naukowej zdobyczy.

— Drogi panie — zawołałem oburzony jego obojętnością — czyż nie rozumiesz, że przez ten wybuch ludzie ponieśli straty na tysiące funtów szterlingów?

— Prawda, prawda — rzekł skruszonym głosem — ale pan wie, że jestem człowiekiem niepraktycznym, i nic nie widzę poza memi badaniami i doświadczeniami. W tym wypadku zdają się na pańskie milczenie, jeżeli nie wyjawisz przyczyny wybuchu, to ogół weźmie to wszystko za cyklon, który bywa niekiedy właśnie o tej porze roku.

— Dlaczego jednak ten wybuch nastąpił?

— To nie był wcale wybuch. Z powodu pewnej nieostrożności, a mianowicie zbyt prędkiego ostudzenia pieca, wytworzyła się nagle znaczna ilość nowej substancji — Cavoritu. Mówiłem już panu przecież, że Cavorit nie pozwala ziemi przyciągać przedmiotów znajdujących się nad nim, czyli izoluje jedne ciała od drugich pod względem wzajemnego przyciągania.

— Cóż dalej?

— Widzi pan, jak tylko temperatura spadła do 33° z mieszaniny, którą przygotowałem, wytworzyła się wielka ilość nowej substancji o szerokiej powierzchni, wskutek czego powietrze, część dachu i sufitu będącego nad nią, że tak powiem oderwało się od ziemi. Wszyscy przecież wiemy, że powietrze ma swój ciężar gatunkowy, i na każdy przedmiot znajdujący się na kuli ziemskiej wywiera ciśnienie w stosunku 14½ f. na jeden cal kwadratowy.

— Wiem o tem, mów pan dalej.

— Otóż Cavorit zniósł to ciśnienie dla całego słupa atmosfery, będącego nad nim; w słupie tym powietrze nie wywierało już na dach domu owego ciśnienia 14½ f. na cal kwadratowy, tymczasem z boków owego słupa nic się nie zmieniło, ziemia przyciągała i powietrze tłoczyło, jak zwykle. W skutek tego naturalnie część sufitu i dach domu musiały wylecieć w powietrze. Utworzył się pewien rodzaj komina czy fontanny atmosferycznej, która z impetem wyrzucała wszystko w górę, w przestwór między planetarny! Na miejsce pędzonego w górę powietrza z boków napływało nowe i tracąc także wagę ulatywało w przestworza.

— Ależ taką fontanną można wypompować całą atmosferę otaczającą ziemię! Ten pański Cavorit może uśmiercić całą ludzkość!

— A tak, a tak — odrzekł Cavor. — Gdyby ta trąba Cavoritu była przymocowana i nie uleciała sama z powietrzem, toby to pompowanie trwało dotąd i można byłoby ziemię pozbawić powietrza. Po pewnym czasie wróciłoby napowrót na kulę naszą; ale wszystkie istoty żyjące jużby się udusiły z braku powietrza.

To dowodzenie jego zgnębiło mnie. Czułem prawie obawę, myśląc o wynalazku Cavora.

— Cóż pan teraz zrobisz? — zapytałem.

— Najprzód poproszę pana o szpadel, bym mógł zeskrobać z siebie to błoto, potem korzystając z pańskiej gościnności poproszę o kąpiel, a później naradzimy się co robić. Podług mnie nie trzeba mówić nikomu o tem, co zaszło, gdyż próba zrządziła wielkie szkody sąsiadom, a w tej chwili nie jestem w stanie ich wynagrodzić. Zagłębiając w mych badaniach nie mogłem przewidzieć tego wszystkiego. Właśnie potrzebuję pana na współnika do eksplo-

owania mego wynalazku. Ja będę teorya, a pan praktyką, wtedy wszystkim pójdzie dobrze. Gdy zarobimy, to zapłacimy tym ludziom odszkodowanie, ale teraz nie mogę tego uczynić. Poniesione szkody przypiszą cyklonowi, prasa zbierze składki dla ofiar, a ponieważ mój dom zupełnie zniszczony i mnie wypłacą asekuracją. Za te pieniądze będę mógł udoskonalić mój wynalazek, czyli zastosować go w praktyce. Gdyby zaś dowiedziano się teraz, że ja jestem sprawcą tej katastrofy, pociągnięto by mnie do odpowiedzialności, sami nic nie dostaną a wszystko przepadnie. Widzi pan zatem, że od naszego milczenia zależy powodzenie sprawy. Teraz druga rzecz: nie mam obecnie funduszu na odbudowanie mego domu, a trzeba nam się zabrać do roboty, więc chyba w pańskim zaczniemy pracować na nowo?

Umilkł i spojrział na mnie.

Zastanowiłem się co mu odpowiedzieć, bo taki gość — wynalazca, to trochę ryzykowny gość.

Po chwili rzekłem.

— Zobaczymy, zobaczymy, a teraz oczyść się pan z tego błota — i wybiegłem po szpadel do ogródka.

Potem napaliłem w łazience, napiliśmy się herbaty, a gdy wanna była gotowa, Cavor poszedł się wykąpać, ja zaś, zostawszy sam, zapaliłem fajeczkę i zacząłem rozmyślać nad całym tym interesem.

Wynalazek Cavora był wielki, ale czy użytkowany praktycznie, przyniesie nam majątek? Może tylko wylecimy w powietrze jak dom jego wyleciał? To byłoby trochę za mało i za wiele zarazem. Biłem się z myślami, czy wejść z nim w spółkę czy nie? Ale cóż? byłem młody, rzutny, nie wiele miałem do stracenia, więc bądź co bądź postanowiłem zaryzykować. Zaraz nazajutrz zabraliśmy się do roboty; trzeba było najprzód urządzić nowe laboratorium tymczasem robotnicy Cavora, którzy, jak wiemy, nie byli przy energicznej próbie Cavoritu, urządzili bezrobocie, bo nie chcieli pracować pod moim kierunkiem. Uspokoilem ich po dwóch dniach. Cavor był w swoim żywiole, zacierał ręce i powtarzał wesoło:

— Złapaliśmy tatarą, teraz idzie o to, aby go utrzymać i użytkować. Postaramy się nie ogołocić ziemi z powietrza, ale wszelka próba to ryzyko! Pan jesteś oględny, i zdaje mi się, że we dwóch dokonamy wielkich rzeczy. Wie pan, to dziwne, ale właśnie wtedy, gdy ten impet powietrza porwał mnie i niósł nad ziemią, przyszła mi myśl, żeby Cavorit wyrabiać w cienkich arkuszach, z lekko zagiętemi brzegami. Co pan na to mówi?

Jest to chyba najlepsza forma, jeżeli go mamy zastosować do użytku praktycznego — odrzekłem z przekonaniem.

### III.

#### Budujemy sferę.

Szliśmy pewnego dnia z laboratorium na herbatę, gdy nagle Cavor po długim milczeniu zawołał:

— Tak, właśnie tak. To będzie doskonałe! Rodzaj okiennicy zwijanej w wałek.

— Co pan mówisz? Okiennica, gdzie?

— W Cavoritowym domku, rozumie się — odrzekł Cavor.

Dotąd nie mówiliśmy jeszcze, jak zastosujemy nowy jego wynalazek, lecz te słowa Cavora dały mi poznać, że on już coś obmyślił. Gdyśmy więc zasiedli do herbaty, poprosiłem, aby mi wyjawiał swój pomysł.

— Słuchaj więc pan — rzekł — ponieważ powietrze, będące nad powierzchnią Cavoritu ucieka w górę, można będzie zrobić z tej substancji coś w rodzaju domku, w formie wielkiej kuli, czyli sfery, wejść do niego, a gdy Cavorit dostatecznie ostygnie i ostygnie sfera, wzniesie się w powietrze i polecą w przestworze.

— Ale my w jakim celu mamy razem lecieć? — zawołałem.

— W celu naukowym — odrzekł ze spokojem mędrca. — Czyż nie warto będzie zwiedzić Mars lub choćby księżyc, a potem pan opiszesz naszą międzyplanetarną wyprawę.

— Lecz jakże wyżyjemy w tym pańskim domku, czy wagonie, hermetycznie zamknięci?

— Zaraz, posłuchaj pan. Wagon nasz będzie miał kształt sfery, zrobimy go z grubego szkła, osadzonego w ramach stalowych. Tlen będziemy wyrabiali, mam na to przyrządek, więc będzie czem oddychać, weźmiemy tylko żywności i wody dystylowanej. Hm! hm! stal trzeba będzie poemalować, żeby ją rdza nie zniszczyła..

— A gdzie będzie Cavorit?

— Czekaj pan, bez niego sfera nie ruszyłaby z miejsca. To będzie trochę skomplikowane, ale zaraz panu wytłumaczę. Owa okiennica zwijana w wałek, czyli okiennice, które za naciśnięciem sprężyny będziemy podnosić lub spuszczać wedle potrzeby, będą właśnie zrobione z Cavoritu. Szklane wnętrze sfery, z jednym tylko zamykanym otworem do wejścia, będzie wyłożone ruchomymi okiennicami z Cavoritu. Gdy okiennice będą pozamykane, cała sfera będzie powleczonea Cavoritem, a więc nie podległa sile ciężkości i wnet polecą w przestworza.

(d. c. n.)

## Z najbliższych okolic Warszawy.

Listy Ninki do Zosi.

Wawrzyszew 15 lipca 1902 r.

**R**ochana Zochno! Odebrałam w tej chwili list twój z gorzkiemi, i przynaję, bardzo zasłużonemi wymówkami, dla czego nie daję znaku życia?

Odpowiedź bardzo łatwa. Bo nudziłam się śmiertelnie, i zdawało mi się, że zupełnie nie mam o czem pisać.

Dwa tygodnie minęły, jak rozstałyśmy się z sobą, a tak nam było wesoło w Zenonowie. Liczne towarzystwo, od rana krikiet, tennis, huśtawka, kołobieg, gimnastyka! a gry różne, wspólne przechadzki!

Tu zaś od razu znalazłam się w ciszy i samotności! tak, w samotności, bo wujek i ciocia wprawdzie młodzi ale zapracowani, zagospodarowani, a babunia to poważna, taka poważna!

Więc powiadam ci Zochno, z rozpacz (bo jeszcze i deszcz ciągle padał) rzuciłam się na bibliotekę wujka. Ciocia nie dała mi samej wybierać, ale dostałam kilka ciekawych powieści historycznych.

Zatopiłam się więc w czytaniu, mając jeszcze jedyną pociechę w poczciwych pieskach podwórzowych Burku i Wierusi! Ach! byłabym zapomniała o ślicznej koteczce Lizce, która zawsze rano do mnie przychodzi.

Czytam więc, trzymając Lizkę na kolanach, aż tu wchodzi

babcia, książkę bez ceremonii zabiera, i każe iść z sobą na przechadzkę.

Miałam ochotę pomruczeć, ale prawdę mówiąc już i czytaniem byłam znudzona, więc poszłam.

— Cóż taka osowiła Ninko? pyta babcia.

— Nudzę się — odpowiadam.

— Nudzisz się? Czyż być może? A gdzie owa tęgość charakteru, owa dzielność któremi się chlubicie moje panienki? Nudy, to oznaka apaty, czyli lenistwa duchowego, mówiąc po polsku, to ten skryty, podstępny nieprzyjaciel, co żeby zwyciężyć, pozbawia siły i energii. Nie daj mu się, i zwalczaj wstępnym bojem!

Dochodziłyśmy właśnie do kościołka; Mszy Świętej nie było, bo kościół odnawiają. Babcia poszła pomodlić się w cmentarnej kapliczce, a ja usiadłam na ławeczce, rozglądając się bezmyślnie w około. Może babcia ma słuszość poniekąd myślałam, ona się nigdy nie nudzi, ale ma lat sześćdziesiąt, a młodzi przecie zabawy i towarzystwa potrzebują.

— Kle, kle, kle, kle, kle, kle! przerwało moje niewesołe rozmyślenia. Boćki kochane dają znać o sobie, a nie słyszałam ich jeszcze tego lata.

Ogromnie lubię bociany, taki to piękny ptak, taki poważny pan profesor w białej kamizelce. A właśnie na tego biedaka rzucają teraz takie oszczerstwa.

— Tępić go, tępić, bo niszczy zwierzynę!

Sprzeczam się o to z wujkiem Józiem i bronię bocianów z całych sił. Choćby też czasem z potrzeby był zajęcożercą, jestem pewna, że przynajmniej tu w Wawrzyszewie wielkie oddaje usługi. Położenie takie niskie i wilgotne, a nikt węża ani padalca nie spotka, żab wprawdzie nie brakuje, ale wieleby ich też było, gdyby nie bociany.

— Kle kle, kle! oglądam się, a tu niedaleko gniazdo na topoli nadwiślańskiej. Stoją trzy młode boćki i stary właśnie nadleciał.

Przyszła babcia i zaczęłyśmy przypatrywać się gniazdu.

Otóż, moja Zosiu, stary bocian wyraźnie coś młodym wykładał. Skrzydłami wykonywał takie ruchy, jak do pływania przytem klekotał ustawicznie. Nareszcie wstał jeden z młodych i zupełnie to samo powtórzył, tylko bardzo niezdarnie potem drugi i trzeci, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu, takie to było zabawne; a matka ciągle poruszała skrzydłami, jakby ucząc dziatwę.

Ale nowy klekot dał się słyszeć, i nadleciał zapewne ojciec, usiadł na suchej gałęzi sąsiedniej topoli i na powitanie zaczął się prawdziwy koncert klekotania, aż w uszach dzwoniło. Chciałabym wiedzieć, co one sobie opowiadały.

Matka przefrunęła z gniazda na drzewo i widocznie namawiała dzieci na próbę latania. Jedno się tylko odważyło, i to tak nieśmiało, z takim ogromnem machaniem skrzydłami, że byłam pewna, iż spadnie na ziemię.

Ale teraz coś nowego: zerwali się do lotu oboje rodzice i okrążają gniazdo, zapewne chcą pokazać młodym jak to latają porządne bociany!

Ach, co też to za lot prze-



Kościół w Wawrzyszewie.



W. Gerson.

Jan Sobieski przyjmuje posłów w Wilanowie.

liczny. Płyną w czystym błękitie zupełnie bez ruchu, zdaje się, że ich samo powietrze unosi. I coraz wyżej, coraz wyżej, kierując się w stronę, gdzie ty mieszkasz Zosiu! już są tylko jak dwie małe łódki ciemne, oddalają się, a ja miłowoli powtarzam z Mickiewiczem.

„I już wisiał w powietrzu, jako plamka szara,  
Wielkości wróbla — motyla — komara —  
Potem się całkiem w błękitie roztopił..”

Roztopiły się w błękitie moje bociany, może tam spały na łące nad Czarną strugą i ty je Zosiu zobaczyłaś. Małuje, żem ukłoniów przez nie nie posłała całemu towarzyszowi. A zdadzą się u was ich odwiedziny, bo w lesie węże, nawet podobno żmije się znajdują.

Co też te bocianięta myślą sobie teraz? rzekłam do babci.

— Zapewne, odpowiedziała z uśmiechem, że kiedyś piej i pewniej od rodziców latać będą.

Zrozumiałam nauczkę i przytuliłam się do babci, potem dzwonek na obiad odezwał się od strony dworu. Czyż to być może? Blizko dwie godziny zeszło, a nudy już nie uciekły.

Wracając spotkałyśmy księdza proboszcza, którego wszyscy bardzo kochają i szanują, rozmawiał z babcią, za-

prosił do siebie i obiecał pokazać jakieś wiekowe dokumenty. Będzie to coś tyczącego się Wawrzyszewy, jeżeli cię to zajmuje, opiszę ci w przyszłym liście wszystko, czego się dowiem.

Bywaj zdrowa — Twoja Ninka.



## Stefek Łuty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

**N**achylała się nad nim jakaś postać niewieścia, wyciągała ręce, podnosiła jego głowę rozgorączkowaną i zbolowaną, tuliła ją do swych piersi, okrywając pieścizotami. Całowała zwłaszcza szyję, czerwony płomyk zauważony przez Marysię, znamię po którym poznać go miała matka.

— Matka! Marysia! swoi... szeptał nie budząc się z odrętwienia. Sięgnął bezwiednie po medalik zawieszony na szyi, przytulił wizerunek Najświętszej Panny Często-

chowskiej do spalonych gorączką ust i popadł w zupełne obezwładnienie.

Jak długo trwał sen, tego nie wiedział sam. Ogień zgasł od dawna, małpka zniechęcona obojętnością chorego siedziała skurczona na ziemi. Obudził się spocony i bardzo osłabiony, ale gorączka przeszła bez śladu, lekarstwo Chryzostoma Dundera wróciło znajdzie zdrowie.

Niestety razem ze zdrowiem wrócił i głód stokroć natarczywszy niż wprzód. Drżały mu ręce, zdołał jednak zapalić ostatnią zapalkę. Może znajdzie na ziemi jaki okruch, może szyszka araukaryi spadła do dołu. Nie namacał nic, nic wcale. Tylko Kadysia siedziała przytulona do jego nóg i ogryzała korzenie cedru.

— Szczęśliwa! — pomyślał — przedłuży życie, tymczasem nadejdzie pomoc, a ja...

Spojrzał raz jeszcze dokoła, błysła mu myśl, na którą się wzdrygnął, ale wracała uparcie do schorzałego mózgu.

— Czemu nie miałbym żyć i żyć, żyć chociażby jeden dzień jeszcze! — zawołał. Chciał uchronić Indyan od głodowej śmierci, a teraz sam...

Nie, nie będzie miał litości, udusi zwierzątko skazane na wspólne z nim więzienie.

Wyciągnął rękę po małpkę. Kadysia myślała, że Stefan chce ją pogłaskać, robił to często w pierwszych dniach swej niewoli. Skoczyła mu na piersi i objęła łapkami szyję opiekuna.

Zerwał się na nogi, jak gdyby sparzyła go pieśczoła biednego zwierzęcia.

— Nie zabiję, nie zabiję! Boże zmiłuj się nademną! krzyknął wielkim głosem i wyczerpany upadł na ziemię. Potem wyjął z kieszeni flaszkę, wypił resztę koniaku. Od tam leżał spokojnie bo opanowało go odrętwienie, z którego mógł nie powstać więcej.

Zapalka paliła się przez chwilę, błysła raz jeszcze i zgasła. Dno jamy zaległa zupełna ciemność.

— Nie zabiłem! Nie zabiłem! Panie zbaw grzeszną duszę moją, Panie! Panie! krzyczał Leon pochylony nad jamą, w której leżał Stefan.

— Panie! Panie! powtarzał — nadsłuchując, czy nie dojdzie głos z głębi dołu.

— Panie! Panie! wołał znów, wołał z całych sił. Teraz wydało mu się, że słyszy stłumiony jęk i pisk do głosu maleńkiego dziecka podobny.

Zerwał się, podniósł z ziemi sznur, który przywłókł za sobą. Przywiązał sznur do drzewa. Był długi, mocny, opasał nim biodra i nie namyślając się ani chwili skoczył w głąb dołu, jak skacze nurek w otwartą toń morza.

Otoczyła go nagle zupełna ciemność, dosięgnął dna jamy wilgotnej i zimnej. Wzdrygnął się.

— Panie bądź miłościw mojej duszy — wołał drżąc ze wzruszenia.

— Czy to ty Leonie? — wyszeptał ktoś obok niego.

Tak to był on. Leon Ziemiak, najnędrniejszy z ludzi, idyota. Stefan dwa razy naraził życie za towarzysza lat dziecinnych. Wyrwał Leona z objęć śmierci na okręcie i z płonącej kuźni w Sixtenlots.

Teraz Leon spłacał dług swemu dobrodziejowi.

Leon szukał Stefana od chwili, jak ślusarczyk zniknął z kolonii. Szukali go zresztą wszyscy osadnicy, ale usiłowania ich były daremne.

— Porwali pana Lutego Bugry — mówił Jasiek flecista i ocierał oczy sukmaną.

— Zaciągnęli do wody i utopili — utrzymywały dziewczuchy, chodząc nad rzeką i lamentując żałośnie.

— Przyszło mu na taki koniec, jak mojej kobiecie — narzekał Tomasz, który był niepokieszony po stracie żony i zniknięciu pana Lutego.

Leon tylko nie mówił nic, nie łamał rąk, nie płakał. Wychodził o świcie ze spalonej kuźni i wracał do niej wtedy dopiero, kiedy już jaśniały gwiazdy na niebie. Przedeptał wszcz i wzdłuż całą kolonią, brzeg rzeki, las przyległy do uprawnych pól. Kto wie zresztą gdzie chodził Ziemiak? Dziewuchy śmiały się z niego, że drze buty bez potrzeby, a on nie odpowiadał ani słowa, nie odwracał głowy, nie słuchał szyderstw. Tropił ślady, jak tropi je wyżeł, który szuka pana.

Nie zwracano już w końcu uwagi na idyotę, alboż mało miał każdy swej troski? Zasiwy były zniszczone, Indyanie nekali kolonistów zasadzkami. Wojciech nie wracał. Nie wracał, chociaż minął czas, w którym wedle obliczeń pana Lutego należało oczekiwać wysłańca.

Osadnicy kiwali głowami i radzili się Tomasza, czy nie należy uciekać do Rio.

— Mało jeszcze użyliście w mieście biedy — mówił Tomasz — jego trzymał w Sixtenlots grób żony. Tu umrę — dodawał ponuro.

Ale młodzi pragnęli żyć, jeśli zostaną w puszczy, czeka ich powolne wymieranie bez księdza, bez pociechy, bez wiadomości od swoich z kraju.

— Panie ulituj się na ich niedolę — mówiła Marcynowa. Nie prosiła o nic dla siebie. Mąż jej leżał na spalonej słońcem pustyni w Minas Geraes dzieci rybom morskim oddać musiała. Czegoż potrzebować, o co błagać mogła jeśli nie o miłosierdzie dla nieszczęśliwych.

I otrzymała też miłosierdzie.

— Wojciech wraca! Wojciech wraca! woła Kasia Skowronczanka — biegnąc od lasu ku barakom.

Skiba nie jechał sam. Był z nim pan Edmund Saporski inżynier mierniczy, rodem z Górnego Śląska, osiadły w Kurytybie, jeden z tych ludzi, których w godzinie wielkiej potrzeby zsyła Bóg na ratunek nieszczęśliwych.

— Pojedziemy razem do Parany, tam w dolinie rzeki Ignassu jest ziemi urodzajnej dostatek, tam zbudujecie kościół i założycie osadę — mówił pan Saporski, a ktokolwiek spojrzał w jego twarz dobrą i mądrą, ten nie wątpił, że nadszedł dla wychodźców polskich dzień zmiłowania Pańskiego. \*) Dożył go i Stefan. Kadysia głaskała opiekuna kosmatemi łapkami, a Nesabil patrzył mu w oczy z bezgranicznym przywiązaniem.

Pana Lutego otoczyli wszyscy koloniści. Wracały mu siły i radość życia.

— Należy czynić dobrze, nie oglądając się za zapłatą bez względu na to, jakie wynikną stąd dla nas skutki, myślał ślusarczyk. Bóg pozwala jednak niekiedy, aby człowiek odebrał widomą nagrodę za swoje postęпки.

Taką nagrodą była dla Stefana pomoc Nesabila. Ziemiak spłacił część zaciągniętego długu. Czy nadarzy mu się sposobność oddania reszty z nawiązką?

— Chryzostom Dundera ocalał może także na pożytek nauki, a jego zbiory, pergamin i dukaty zawieziemy do Parany. Będą one stanowily pierwszy zaczątek polskiego muzeum w Kurytybie — mówił Stefan i przypomniał sobie raz jeszcze słowa pani O'Clear:

— Więcej ludzi marnieje przez brak ideału, niż ginie dla ideału.

Koniec części IV-ej.

\*) Wszystkie podane tu fakty, tak dotyczące Botokudów, jak i dziejów pierwszej osady polskiej w Ameryce, są prawdziwe.



# NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

## O S O B Y:

**Pani Topolska, Pan Topolski, — Wańdzia lat 12, Konrad 11 lat, Nina 7 lat (ich dzieci). — Jadzia 11 lat, Amelka 10 (koleżanki Wańdzy). — Antek 12 lat, Karolek 13 lat (syny Konrasia). — Walentowa (służąca). — Głos babci (za sceną).**

*Scena dzieje się w Warszawie u pp. Topolskich. Scena przed pokojem jadalnym. Po środku drzwi główne, na prawo i lewo dalszych pokojów. Podczas podniesienia zastawy Nina siedzi przy stole i zapisuje coś w małym kąciku. Przed nią ułożonych książkach siedzi lalka, oprócz tego ma przed sobą kilka książek i kajetów.*

## SCENA I.

**Nina (do lalki).**

Proszę uważać, moja panno, zaczynam wykład! Na początku nic, a nic nie było na świecie, tylko ciemność nieporządek... wielka ciemność i wielki nieporządek, a Pan Bóg unosił się wysoko... wysoko... czy rozumiesz to, moja ochana? *(zmienionym głosem)*. „Rozumiem proszę pani.” *(Grubszym głosem)*. To bardzo dobrze, kochanko, bo jak czego nie rozumiesz, to zawsze zapytaj, a ja ci wytłumaczę. A w ile dni Pan Bóg stworzył świat?... *(po chwili z oburzeniem)*. Nie wiesz, jakto nie wiesz takiej prostej rzeczy w ile dni Pan Bóg stworzył świat?... nie, za to, to już muszę dać ci klapsa. *(Uderza lalkę po rękę i udaje jej płacz)*. A! a! a!... No, nie płacz kochanko, to tylko dla twego dobra. *(Całuje ją w czoło. Potem kładzie jedne książki, a bierze inne)*. Teraz rachunki. No, moja panno, do jednego dodać jeden to ile będzie, *(zmienionym głosem)*. Dwa!... A do dwóch dodać dwa? *(j. w.)*. Cztery. A od trzech odjąć jeden? *(j. w.)*. To będzie dwa. Ślicznie, doskonale! wybornie! Masz zdolności do rachunków, moja uczennico. Będziesz miała z rachunków piątkę z plusem *(zapisuje)*.

## SCENA II.

**Nina i Wańdzia (wchodzi z lewej strony).**

Chwała Bogu, Nina dobrze się zabawiła, babci podałam książkę, okulary i wodę z cukrem, teraz trzeba zająć się herbatą. Ale co to jest, że Konraś dotąd nie wraca?... *(woła)* Walentowa!... Walentowa!...

## SCENA III.

**Ciz i Walentowa (wchodzi z prawej strony).**

**Walentowa.** Czego się tak drze Wandeczka?

**Wańdzia.** Ach, jak się Walentowa niedelikatnie wyraża... Wołam, prosiłam, żeby Walentowa tu przyszła. Czy samowar już nastawiony?

**Walentowa.** Rany Boskie! Józefie święty! dyć ile czasu dudni, jak z kowalskiego komina. Węglisków tych pacham ino, pacham, a Wańdzia to nijakiego opamiętania nie ma, że w tym mieścisku to za każde śmiecie płacić ino i płacić. O, rety! jak nasze państwo wydoła tylim wydatkom!

**Wańdzia.** I cóżem winna, moja Walentowo, że Konradzia dotąd nie widać.

**Walentowa.** Rak zatracony! zbereźnik chłopczyko! Obiadu to ino tknął chudzina i zara wyleciał, jak z procy; tyło go oczy nasze widziały. Oj! rany! Józefie święty! pewnością złe go poniosło z tymi łykami, łobuziakami na rękę.

**Wańdzia.** Konraś dał słowo mamie, że podczas jej nieobecności chodzić nie będzie na ślizgawkę, pewna więc jestem, że tam nie poszedł.

**Nina.** Konraś poszedł na pocztę i przyniesie dużo, dużo pieniędzy, prawda, Wandeczko?

**Walentowa.** Rany Boskie! Józefie święty! Skądby taki rak zatracony wzion pioniondzów, co też to Nina wygaduje.

**Wańdzia.** Nina mówi prawdę: otrzymaliśmy dziś list od rodziców, w którym donoszą, że ważny interes zatrzymuje ich jeszcze dwa dni w Piotrkowie i na ten czas przesyłają nam parę rubli na utrzymanie domu, Konraś poszedł odebrać z poczty te pieniądze.

**Walentowa.** A dyć znowu coś nowego! Paniska jeszcze nie wracają?... Rany Boskie! Józefie święty! Cały dom, gospodarka, tyli dobytek na takich robakach!... *(bierze się za głowę)*. O nieszczęście!... Rozum całkiem stracę... rety, rety!...

**Wańdzia (wesół).** Ot, zamiast lamentować, pójdźcie lepiej, Walentowo po bułki do herbaty. *(Wyjmuje i daje Walentowej pieniądze)*, 6 kopiejek na bułki, a 7 na chleb, to powinno wystarczyć.

**Walentowa.** Zaraz polecę. Ino nie puszczajcie tu, robaki, nikogo; jeszcze jakie złodziejstwo, broń Boże, dobrać się tu gotowe. Wandeczko, nie otwieraj, ptaszku, aż ci kto bez drzwi odpowie kiej zac, pamiętaj! *(wychodzi głównymi, środkowymi drzwiami)*.

## SCENA IV.

**Nina i Wańdzia.**

**Wańdzia.** Dobrze, dobrze!... *(wyjmuje z kredensu filiżanki i ustawia na stole)*.

**Nina (do lalki).** Teraz francuski. Matka? *(piskliwie)* La mère. Ojciec? *(j. w.)* Le père. Siostra? Wańdziu, jak siostra po francusku?

**Wańdzia.** La soeur.

**Nina.** Już dosyć francuskiego. To strasznie nudne! Teraz będzie pogadanka, zobaczysz, moja lalusiu, to śliczna lekcya. *(Bierze ze stołu kawałek papieru, mnie go stosownie i mówi)*. Widzisz, kochanko, to ptaszyna śliczna, mała ptaszyna! Dziobek ma żółty, oczki jak perełki, a jaki czubek, podgardle białe... Ptaszyna ta mieszka w gniazdku, jak my w domku, ma siostrzyczki, braciszków, mamusię... tatu... *(rzuca papier i woła grymasnie)*. Wańdziu, ja chcę mamusi! mamusi!...

**Wańdzia (całując Ninę).** Nie kapryś, dziecko, mamusia prędko przyjedzie, a teraz zabawimy się wesóło, zobaczysz!... *(namyśla się przez chwilę, potem jedno krzesło nakrywa kożuskiem baranym, kładąc go włosem do góry)*. Widzisz, to baran, taki duży, czarny baran *(na drugie krzesło zawieszka kapelusze ojca i osłania paltem)*, a to mościwy pan.

**Nina (kłaszcząc w ręce).** Już wiem! już wiem! *(stojąc za krzesłem wyobrażającym pana i mówi grubym głosem)*. Gdzieżeś ty bywał, czarny baranie?... *(przebiegając do krzesła wyobrażającego barana)*. We młynie, we młynie, mościwy panie. *(j. w.)* Cóż tam robił, czarny baranie? *(j. w.)* Miał mączki na pączki, mościwy panie. *(j. w.)* Cóż tam jadł, czarny baranie? *(j. w.)* Kluseczki, z miseczki, mościwy panie. *(j. w.)* Cóż tam pijał, czarny baranie? *(j. w.)* Winięczko, piweczko, mościwy panie. *(Słychać dzwonek i dobijanie się do drzwi środkowych)*.

**Wańdzia.** Konraś tak nie dzwoni, Walentowa wzięła klucz od zatrasku, ktoby to mógł być?... *(Dzwonek i dobijanie się coraz gwałtowniejsze)*. Mimowolny strach mię ogarnia!... *(z żalem)*. Na co to Walentowa mówiła mi o złodziejach. Co tu robić?...

**Głos babci (za sceną).** Kto się tam tak dobija? kto to dzwoni?

**Wańdzia.** Boże, żeby tylko babcia się nie przeraziła. Mama zawsze mówi, że przestraszyć szkodzi babci. Jak temu zaradzić? *(po chwili)*. Już wiem!... *(do Nini)*. Idź do babci i powiedz, powiedz... że posłałam drzwi otworzyć... że to nic... że to zapewne chłopiec z węglami!...

**Nina (wybiegając na lewo w podskokach, śpiewa).** Kto

się tam dobijał, czarny baranie? — Sam młynarz, sam młynarz, mościwy panie!..

### SCENA V.

(*Babcia, Nina, Wańdzia, potem głos Kurołka, za sceną Antka, wreszcie Konrasia.*)

**Wańdzia.** Trzeba uzbroić się w odwagę, całą przytomność umysłu i zapytać: kto tam? (*idzie i cofa się*). Boję się! Boję się!..

**Karolek.** Otwierać! otwierać! Czy tam wszyscy wymarli! (*kołace coraz gwałtowniej*).

**Wańdzia** (*z wysiłkiem*). Kto tam?

**Karolek.** Swój!.. proszę otworzyć!

**Wańdzia** (*na stronie*). Głos mi znany. „Swój” o, złodzieje zawsze tak mówią! Jeżeli zaczniesz otwierać drzwi witrychem, otworzę okno i zawołam stróża. Trzeba być na wszystko zdecydowaną. (*rezolutnie*). Czego, pan złodzieju, sobie życzy?

**Karolek.** Hola! złodzieju!.. (*po chwili*). Pieniądze albo życie!..

**Wańdzia.** Mam tylko 55 kopiejek całego majątku, niech pan złodzieju zejdziesz na podwórko, to przez lufcik wyrzucę mu pieniądze.

**Karolek.** Nie głupim, przez lufcik gotowa mi panna marchewkę pokazać i tyle!

**Wańdzia** (*z oburzeniem*). Ja nigdy nie kłamię, pan złodzieju mnie nie zna.

**Karolek** (*coraz donośniej głośnie*). Chcę sprzętów, kosztowności, nie dam się wykpić sianem. No, otwierać!

**Wańdzia** (*z rozpaczą*). Co tu robić? co tu robić? (*po namyśle*). Już wiem! (*krzyczy*). Tatusiu, wujaszku, stryju, Konradzie, Janie, wszyscy, chodźcie prędzej, bo się tu ktoś do drzwi dobija!

**Karolek.** No, no, nie zwracaj mi tam panna głowy. My złodzieje nie tacy znów głupi, wiemy dobrze, że oprócz starej, niedołącznej babci i maleńkiej Niny, nikogo nie ma w domu.

**Wańdzia** (*załamując ręce*). Oni wszystko wiedzą!..

**Karolek.** Otwierać, pannę, bez żadnych ceregielów i basta!

**Babcia** (*za sceną*). Wańdziu!.. Wandeczko!.. Kto się tam tak dobija? kto to taki?

**Nina** (*za sceną*). Ja się boję! Wańdziu, chodź tutaj!

**Wańdzia** (*w najwyższym zakłopotaniu*). Co ja pocznę? (*do babci*). To nie, babuniu, zaraz przyjdę (*na stronie*). O Boże! co mam robić? Odwagi!.. odwagi!.. (*Hulas, stąpanie, śmiechy za sceną*).

**Antek.** Jest i drugi zbójca i trzeci, cała banda. Życie lub pieniądze! Otwierać!..

**Wańdzia** (*z nagłą odwagą*). Panowie zbójcy, zlitujcie się!.. 55 kop. srebrną cukiernicę, srebrny koszyk, 12 łyżeczek 84 próby, moją złotą broszkę z turkusikiem, to wszystko co mam tylko drogiego, wszystko to wam oddam, daję wam na to słowo honoru, a powinniście wiedzieć, (*z dumą*)

że Wanda Topolska nigdy słowa nie łamie. Otóż to wszystko obiecuję wam święcie oddać pod warunkiem, że nie przestraszycie babci i Ninki. Babunia taka stara i chora, Niniusia mała, dobra jak aniołek siostrzyczka. O! przebież i wy macie żony...

**Antek** (*patetycznie*). I u mojej żony jest synek taki maleńki!..

**Karolek.** Pierwszym pałkę strzaskał na twej skroni, gdyby nie dziatek pacierze.

**Wańdzia** (*szdziwiona*). To jacyś wykształceni złodzieje, umieją wiersze Mickiewicza na pamięć.

**Antek** (*przesadnie*). Dziewico, skruszyłaś nasze zbrojeckie serca i my honor swój mamy.

**Karolek.** Otwieraj! układ stanął! oddaj koszyk, cukiernicę, 12 łyżek 84 próby.

**Konrad** (*z niecierpliwością*). Wandek, nudna jesteś. Długo nas jeszcze za drzwiami będziesz trzymała?.. Otwierajże nareszcie!

**Wańdzia** (*uradowana*). Co to jest, głos Konradzia (*biegnie otwierając*).

(*c. d. n.*)

### SZARADA.

(*Lirenka*).

*Pierwsza i druga* uroczą dolina,  
Która krainę Tesalską przerzyna;  
*Drugie i trzecie* przedmieście stolicy  
Tureckiej ziemi; tam Europejczycy  
Mają dla siebie stałe pomieszczenie.  
*Druga ma z piątym* toż samo znaczenie.  
Jeśli kto z *czwartym* zapoznać się życzy,  
Niech je do działu przysłówek zaliczy;  
A *wszystko* z pięciu aż sylab się składa,  
Oznacza ciepło... otóż i szarada.

### ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

uł. Giermek.

Do trzech spółgłosek: d, n, r, dodać samogłoski i utworzyć nazwy sześciu rzek europejskich.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 35.

*Szarady*: Ka — li — for — nia.

### Łamigłówki sylabowej:

- 1) Potop. 2) Ilza. 3) Ostrogoci. 4) Tomasz. 5) Richelieu.
- 6) Sofokles. 7) Kossak. 8) Antygona. 9) Ryszard. 10) Grażyna.
- 11) Ariosto. 12) Janina. 13) Anioł. 14) Neron. 15) Moniuszko.
- 16) Arystofanes. 17) Temistokles. 18) Elba. 19) Jadwiga.
- 20) Kraków 21) Osman

Piotr Skarga — Jan Matejko.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA Nr. 10.

**TREŚĆ:** Król gór i skał (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa. — Z najbliższych okolic Warszawy, Listy Ninki do Zosi (z ryc.) — Jan Sobieski przyjmuje posłów w Wilanowie (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedycja w 1-ym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Jestem Robinson Kruzoe (z ryc.) — Przed drzwiami ciemnego pokoju, monolog przez Z. Z. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Gra na wolnym powietrzu. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.



## Jestem Robinson Kruzoe.

*Dla Michasia od mamy.*

Pani G. drgnęła i podniosła pochyloną nad książką głowę. Przez otwarte, wychodzące na ogród okno, do saloniku wpadła fala głosów, a wśród nich czułe macierzyńskie ucho odróżniło z łatwością głosy trwogi. Rumieniec niepokoju oblał tak zawsze pogodną twarz młodej kobiety.

— Co się tam stało?

Szybkim jak myśl ruchem zerwała się z krzesła, skoczyła do okna. Jedną z licznych ścieżek wiodących ku rzece, biegły dwie postacie: wysoka kobieta i spory, dziesięcioletni może chłopiec.

Przerażenie odmalowało się w oczach pani G.

— Jasiu! — krzyknęła głosem zmienionym — Jasiu, gdzie jest Michaś?

Odległość między nią i szybko poruszającą się parą była jeszcze zbyt wielka, by mogła usłyszeć odpowiedź, niemniej jednak w głosie syna odczuła wyraźne drżenie.

— Boże, cóż się tam stało! — szepnęła.

— *Miss Hawley where is Michaś? \**) — zawołała.

Odpowiedziano. Lecz wiatr powiał i uniósł słowa rzucone bezładnie.

Przerażenie odjęło na chwilę przytomność matce.

Stała jak przykuta do podłogi. To, co widzi, potęgowało jeszcze strach jej, przyspiesza uderzenia bijącego serca.

Nauczycielka jedną ręką podnosi ociekające wodą suknie, drugą przytrzymuje rozrzucone warkocze. Twarz jej blada, usta drżą...

Jaś biegnie tuż za nią, bez kapelusza na jasnych, rozwianych włosach, w zręcznym ubraniu, ze śladami mułu rzecznoego na bosych nogach, cały mokry, strapiiony, gestykuluje i przekłada coś niesmiało Angielce, bez zwykłej swej żywości.

— Gdzież jest Michaś? — woła znowu pani G. — Co się stało?

Lecz czy ją słuch myli? Co oni mówią?

— Rzeka... Rzeka... w rzece — krzyczy Jaś. — Wpadliśmy do rzeki... Niech się mama nie boi!... Coś mówią jeszcze naprzemian oboje i nie zatrzymując się biegną dalej... Edwardzie... Edwardzie... — słysząc jeszcze ich nawoływania na służącego.

Ale pani G. nie słucha dłużej. Już wie dosyć...

Michaś wpadł do wody, a Jaś z nauczycielką stracili głowę i lecą wołać o pomoc.

Jednym skokiem była już na werendzie w ogrodzie, na ścieszcze. Ból ostry ścisną jej serce. To dziecko, choć obce, tak się jej już stało drogiem. Ta duszyczka kryształowa, w której jak w zwierciadle przejrzeć się można było, te oczy niebieskie, z taką wiarą i zaufaniem wpatrzone w nią zawsze, a tak się rozjaśniające, gdy jaka wątpliwość naukowa rozstrzygniętą pomyślnie zostawała, to małe stworzenie, z którego ona marzyła przy Bożej pomocy człowieka zrobić, to dziecko, jedyny skarb swej matki, polecony jej opiece i staraniu, miałożby zginąć marnie z braku dozoru, przez nieostrożność lub niezadradność?

— Co pocnie biedna Stasia. Mój Boże, zmiłuj się nad nami. Trzeba biedz, lecieć czempredzej. Jeszcze kroków kilka, już widać rzekę.

Pani G. plan działania ma już gotowy. Skoczy do rzeki... znajdzie dziecko... woda mała... wyciągnie je... uratuje...

Lecz cóż to znaczy? Łódka dobija do brzegu a w niej z wiosłem w ręku zarumieniony z wysiłku, z wielką powagą na zafrasowanej twarzyczce, siedzi szesnastoletni wiosłarz.

Pani G. z westchnieniem ulgi, z błyszczącymi od radości oczami wyciąga ku niemu ręce.

— Michasiu!...

Chłopczyk szybko zwraca się ku niej.

Niepewny, jakby prosząc o przebaczenie, uśmiech rozchyła mu usta, chwilę milczy zaniepokojony. Lecz oto myśl jakaś nagle rozjaśnia mu rumianą, okrągłą buzię.



\*) Panno Hawley, gdzie jest Michaś?

— Ciociu, ja jestem Robinson Kruzoe — wybucha, rzucając się na szyję pani G. — Doprawdy, ciociu! Czy ciocia wie, co się stało? Jaś się topił.. Miss Hawley ka-zała mi nie ruszać się z łódki, za nim tu przyśle Edwar-da i powiedziała, że dostanę różgą, jeśli się będę ruszał.. Ale ja się ciociu naprawdę, prawie nic nie ruszałem. Jaś się przechylił i wpadł do wody. Taki kręcicki! i tylko co nie utonął. Miss Hawley krzyknęła i skoczyła za nim. A tam było tak głęboko, ciociu, że aż Jaś choć taki wiel-ki, cały się zanurzył. Tak strasznie głęboko! Biedny Jaś, tylko co się nie utopił.. Prawda, ciociu, że byłoby to okropne, gdyby Jaś się utopił, i żebym ja się utopił... i żeby miss Hawley?... Ale Miss Hawley jest bardzo od-ważna i silna! Zaraz rzuciła się do rzeki w bucikach i kapeluszu, chwyciła Jasia za pasek i przyciągnęła go do brzegu, bo już nie mogła do łódki powrócić, i sama wylazła i Jaś wylazł. A potem to na mnie krzyczała, żebym się nie ruszał w łódce.

I ja się, ciociu, naprawdę nie ruszyłem się z ławeczki, i nawet bardzo, bardzo spokojnie siedziałem... tylko so-bie wiosłowałem do tych dzieci, co ryby łapią. Ale to nic złego? I przecie za to, że wiosłowałem nie dostanę różgą.. Bo ja nie byłem nie a nie nieposłuszny... Czy ciocia się gniewa?...

— Nie, nie, chłopcze mój kochany, ktoby się gniewał na Robinsona! Chodźmyż prędzej dowiedzieć się, jak miss Hawley i Jaś miewają się po tej kąpieli!..

S. Świętorzecka.



## Przed drzwiami ciemnego pokoju.

(Monolog).

Do salonu po książkę iść kazała mi mama,  
Lecz ja strasznie się boję... nie, nie pójdę tam sama.  
Książka leży na stole, stół przy oknie aż stoi...  
Czy ja jedna się boję?... Mania także się boi.  
Ale mama kazała, ale mama tam czeka,  
Ja tu stoję przed drzwiami, a czas przecie ucieka,  
Pójdę!... (otwiera drzwi i zagląda do pokoju).

Jakże tam ciemno! strach napewno jest jaki.  
Wróć... to mnie wyśmieją, trzeba będzie piec raki.

(bierze za klamkę)

A jeżeli się ku mnie zbliży jakiś duch biały,  
To zemdleję ze strachu... (po chwili)

No, odważnie! precz strachy!...

(wpada do pokoju i za chwilę wybiega z książką).

I nie było widziadła,

A doprawdy ze strachu, ażem trochę pobladła.

Z. Z.

Marya Weryho.

## Co znalazłem w błotach i kałużach?

22. Wirczyk.



pomiędzy stworzeń zamieszkujących nasze ba-  
gniska i stawy, najciekawszym jest może wirczyk.

Zupełnie przypomina kielich i łądzkę rośliny. I gdyby miał trochę wyraźniejszą barwę, bo jest blade zielony, powiedziałbym, że to lilia z mnóstwem kwiatów dokoła.

No, ale co mi się tam wydaje, to nic dziadka nie obchodzi, muszę mu powiedzieć, jak jest naprawdę.

Otóż wirczyk jest to rodzaj wymoczka, o ciele dzwonkowatym, osadzone na kurczliwej nóżce. Trzeba mieć dużo cierpliwości, ażeby mu się długo przyglądać, a wtedy dojrzymy mnóstwo ciekawych rzeczy.

Na przednim końcu ciała, naokoło otworu gębowe-go, wirczyk ma rzęsy, któremi stale porusza i tym sposo-bem wprowadza w ruch wodę, która przynosi mu poży-wienie.

Gdy jednak zbliży się coś większego lub jakiegoś stwo-rzenie, które może mu zaszkodzić, wtenczas wirczyk z prędkością błyskawicy kurczy się, zwija jak sprężyna i przytula do nóżki. Po pewnym czasie woda zabiera niepożądany przedmiot, wirczyk rozwija się, zaczyna po-ruszać rzęsy i wyławiać z wody pożywne części.

Będę miał co opowiadać choremu dziadkowi we czwartek.

Julia Piasecka.

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).



ja ci mówię, że rodzeństwo!

— A ja mówię, że nie.

— To się może założymy?

— Dobrze.

— O co?

— O co chcesz.

W tej chwili pociąg zatrzymał się na stacyi, a Woj-taszek otworzył oczy i niespokojnie się poruszył, jakby się bał, aby go z wagonu nie wyrzucili. Gdy ruszyli da-lej, odetchnął całą pierśią.

Pani uśmiechnęła się do niego, lecz Wojtaszek nie zauważył tego. Wypocząwszy trochę, niepewność po-łożenia stała mu się uciążliwszą niż dotąd, przytem rozmy-ślał nad tem, co znaczyła kartka, którą mu Mira w rękę wsunęła. Och, czemuż czytać nie umie, nigdy w życiu chyba nie będzie mu ta umiejętność tak potrzebną, jak w tej chwili.

— O czym tak myślisz, dziecko? — zapytała go pani po polsku, usłyszawszy, że dzieci mówiły do siebie tym językiem — powiedz, może ci w czym pomocną być mogę.

Wojtaszek usłyszawszy, tę nad wszystko drogą mu mowę, aż podskoczył z radości.

— O tak, chciałbym wiedzieć, co tu napisane, nie umiem czytać.

Podał jej papier; a ona przeczytała po niemiecku: „Proszę o opiekę nad jadącymi dziećmi.”

— A więc jedziecie sami?

— Tak, pani.

— A dokąd?

— Do Wiednia.

— Czy na stację przyjdzie kto po was? Powiedz, jeśli nie, wskaż mi adres a odwiozę was, gdyż mieszkam w Wiedniu i tam właśnie jadę. Z całą przyjemnością zajmę się tobą i twoją małą siostrzyczką.

— O dziękuję, dziękuję pani, ale ja nie wiem; czy my mamy wysiąść w Wiedniu.

— Musicie — objaśnił pan — gdyż ten pociąg nie idzie dalej.

— A gdzie jedziecie?

— Do Warszawy.

— O, to jeszcze kawał drogi, musicie zanoćować i dopiero nazajutrz pociąg zawiezie was do Krakowa.

— Nocować, ale gdzie? Czy w Wiedniu są takie zajazdy jak w Presburgu? O! powiedzcie mi dobrzy państwo, abym nie zabłądził!

Prosił z taką pokorą, że oboje zaczęli go uspokajać.

— Nie bój się chłopcze, zajmiemy się tobą. Zabiorę was do siebie, a nazajutrz sama odwiozę na stację.

Wojtaszek odetchnął swobodniej i oczy mu się rozjaśniły, chciał się zerwać i ucałować ręce dobrej pani, lecz mała Nelli tak smacznie spała na jego kolanach, że ruszyć się nie mógł. Tymczasem cel podróży był już widać niedaleki, gdyż podróżni zaczęli się przysposabiać do wysiadania.

— Macie jakie rzeczy? — spytała nieznajoma.

— Tylko ten węzełek.

Wojtaszek rozbudził dziewczynkę, a wzięwszy ją na rękę, gotów był i czekał.

Ścisk na stacyi był ogromny. Mali nasi znajomi z niemałym trudem przeciskać się musieli, aby zdążyć za państwem. Dziewczynka mocno trzymała za rękę Wojtaszka.

— Co to jest Wojtaszku, czy to już Warszawa? Czy prowadzisz mnie do mamy? Chodźmy, chodźmy prędzej, chcę, aby się zaraz z mego powrotu ucieszyła, a później żeby mnie położyła do łóżeczka, tak mi bardzo gorąco, główka mnie boli — szeptała mała.

Wojtaszek wziął ją znowu na ręce. Dziewczynka była ciężka, chłopiec mimo silnie rozwiniętych mięśni, poczerwieniał ze zmęczenia. Biegł jednak szybko, obawiając się stracić z oczu swych dobrodziejów.

— Dlaczego mała nie idzie? — zapytał pan, odwracając się ku Wojtaszkowi.

— Biedactwo bardzo zmęczone, nie zdążyłoby.

Ot już niedaleko — objaśniła pani — kilka kroków zaledwie.

Istotnie, w kilka minut weszli do pięknej kamienicy, a następnie do jasno oświetlonych pokoi. Próżne były usiłowania, aby tego wieczoru dzieci rozweselić, a małą Nelli zmusić do odpowiadania, główka opadała jej na pierś, położono ją do łóżka. W nocy dostała gorączki, zrywała się biedaczka, chciała gdzieś uciekać, przywoływała Mirę, aby ją skryła przed Czardajem, odpychała kogoś od siebie, wołała, że się boi Hagiela i Kulima. Wojtaszek zrozpaczony uspokajał maleństwo, prosił, aby nie wymawiała tych imion, że o nich nikomu mówić nie można, aby czasem kto nie zdradził ich obecności i nie zawiadomił Czardaja, ale napróżno. Nie wiedział biedak, że to było bredzenie bezwiedne, że prośby w takich razach nie znaczą, i że aby to usunąć trzeba było przedewszystkiem lekarza i lekarstwa. Chłopiec był niepokojony, mimo, że pani zajęła się chorem dzieckiem bardzo troskliwie.

— Ale ona jutro będzie już zupełnie zdrowa, prawda, będziemy mogli dalej jechać?

— Nie wiem, wezwałam lekarza, jeśli uzna, że to możebne, to was odwiozę na stację.

— A jeśli nie?

— Zostaniecie u mnie tak długo, dopóki mała zupełnie nie wyzdrowieje. Nie możesz przecież jechać z chorem dzieckiem.

Wojtaszek przeraził się.

— Kilka dni tu pozostać! o Boże!

— Dlaczegoż się tak obawiasz pobytu w moim domu? a może niepokoją się o was rodzice, powiedz mi ich adres, pošlę depeszę.

— O nie, pani!

— Dla czegoż nie chcesz?

— Bo... bo... ja nie wiem... to jest, na nas nie czekają, ale ja... tego... ten...

Jąkał się biedak, nie chcąc wyjawić całej prawdy, Mira zakazała mówić komukolwiek, dopóki nie przejadą austriackiej granicy, bo jeżeli nie uda się jej obałamucić kłamstwem Kulima, Czardaj może ich ścigać aż do granicy i zawezwać policję do pomocy. Wszelkich więc wypytywań odmawiał uparcie, a z niepokojem czekał co powie lekarz.

— Boże, żeby tylko pozwolił jechać — myślał sobie — żeby jak najprędzej przejechać tę nieszczęsną granicę, to tak jakby w Brzezinkach, w ojcowej chacie! Zaraz wszystkim wszystko opowie, rodzice dziewczynki się dowiedzą i przyjdą po nią! Oj, będzie to radość, będzie!

Tak sobie pięknie Wojtaszek wszystko w myśli układał, a tymczasem co innego się zapowiadało. Przyszł lekarz, stan dziewczynki znalazł nie groźnym, chociaż było silne przeziębienie.

— Prawdopodobnie będzie to influenza, trzeba dziecko trzymać w łóżku i dawać lekarstwo, jakie przepiszę.

Zacna pani zajęła się chorem dzieckiem, jak swoim własnym. W nocy nawet czuwała przy łóżeczku, Wojtaszek mimo wdzięczności i podziękowań zdradzał ogromny niepokój, co nieznajomą panią zastanawiało.

— Jakże to wszystko dziwne — myślała sobie — chłopiec niechętnie udziela wyjaśnień, płacze się, nie wie co mówić; dziecko w gorączce wymawia jakieś, wę-

gierskie nazwiska, czegoś się boi, wzywa jakąś Mirę, ciągle o niej mówi! Są Polakami, chłopiec mówi z chłopską, źle wymawia niektóre wyrazy, a oboje źle mówią po niemiecku, mieszają wyrazy węgierskie.

Zwierzyła się mężowi ze swych podejrzeń.

(d. c. n.)

## Gra na wolnem powietrzu.

Do tej zabawy potrzeba nieparzystej liczby osób, które stawają parami jedna za drugą, pozostała zaś samotna osoba zajmuje miejsce na przodzie, klaszcze w dłonie i woła: *Trzecia para naprzód!* Na to hasło trzecia para opuszcza swoje miejsce, biegnie naprzód, jedna osoba po prawej, druga po lewej stronie rzędu i stara się połączyć znowu z sobą. Ale temu połączeniu przeszkadza na czele rzędu stojący, który, jeżeli zdoła dotknąć się uciekającej osoby, zostaje zwolniony ze swego urzędu, a zostający bez pary zastępuje jego miejsce. I ta nowa para staje jako pierwsza. Jeżeli przeciwnie uciekający zdołają się połączyć, zajmują miejsce pierwszej pary, a samotnik znowu woła: *Trzecia para naprzód.*

## SZARADA.

uł. Ciekawski.

*Pierwsza to ogromne zwierzę,  
Które trąbą wszystko bierze;*

*Drugie macie w alfabecie,  
Poszukajcie a znajdziecie!*

*Wszystko razem świeci, grzeje —  
Gdzie go niema, źle się dzieje!*

## ARYTMOGRYF.

ułożył Mściwy Jastrząb.

1)	x	27	4	5	12	3	Produkt spożywczy.
2)	x	8	7	3			Zaimek pytający.
3)	x	1	6	4	16	2	Roślina jednoliścienna.
4)	x	3	3	7	4	8	Pałac turecki.
5)	x	11	2	7			Ryba.
6)	x	132	4	5	12	8	Część ubrania.
7)	x	3	3	12	16	8	Kawałek drzewa w płócie.
8)	x	11	4	8			Kwiat pachnący.
9)	x	16	9	16	4	1	Okrzyk radosny.
10)	x	18	4	18	8	3	Produkt spożywczy.
11)	x	7	4	8			Przysłówek twierdzący.
12)	x	5	3	20	12	4	Narzędzie rolnicze.
13)	x	15	16	12	4	6	Wielki kieliszek.
14)	x	5	3	8			Płyn z owoców.
15)	x	16	4	16	12	11	Wzgórze pod Krakowem.
16)	x	23	11	4	7	23	Potrawa litewska.
17)	x	3	20	12			Wykrzyknik.
18)	x	18	4	24	3	7	Dowódca wyprawy Argonautów.

Zastąpić liczby literami, aby w utworzonych 18 wyrazach środkowe litery złożyły imię i nazwisko pols. bajkopisarza..

Jedne i te same liczby oznaczają jednakowe litery.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go:

Zagadki: Ka — wa.



## Skrzynka do listów.

Upredzamy naszych czytelników, że tylko wskutek pomyłki drukarskiej znalazł się podpis Jaskółki pod „Skrzynką” z zesłaniem tygodnia. Ptaszyna wasza buja jeszcze wśród zielonych pól i lasów, a gdy zawita tu z wycieczek letnich, sama zawiadomi was o powrocie swoim, wzywając w dalszym ciągu korespondentów i korespondentki do szczerzej z nią i serdecznej wymiana myśli.

Rozumny z siebie chłopczyk Kaziu L., skoro tak młodym będąc, pojmuje ważność obowiązku i wiesz, że on przodować musi w życiu przed wszelkimi przyjemnościami i rozrywkami. Żal ci minionych dni wakacji, żal wesołych zabaw, miłych wycieczek, ale mimo to zabierasz się z odwagą i dobrą wolą do nauki. Pakujesz do tornistra książki, spieszysz do szkoły z myślą zajęty wyłącznie lekcjami i wykładem profesora. W tem, jak we wszystkim pierwszy krok najtrudniejszy; gdy raz pokonasz powakacyjnego leniuszka, praca stanie ci się łatwą i z dniem każdym odczuwać będziesz więcej zadowolenia, a wypoczynek po sumiennej pracy stanie ci się miłym jeszcze w dniu świąteczne.

Pytasz nas Wituniu G., jak radzić sobie, aby uniknąć napomnień mamy i nagany nauczycielki, za ciągle spóźnianie się w zajęciach. Podamy ci na to środek nieomylny: nie będziesz się opóźniała, gdy wszystko, bez zbyteńnego nawet pośpiechu, robić zechcesz w porze właściwej. Pilnując się godzin, nie odkładając na później tego, co wcześniej ma być załatwione, przywykniesz do akuratności i ładu, to jest do zalet dla każdego pożądaných, a zwłaszcza dla młodej panienki, która kiedyś jako gospodyni utrzymywać powinna ów ład i porządek w domu.

Zadość czyniąc życzeniu twemu Siostrzo Złotej Rybki, wysłaliśmy ci niezwłocznie żądane komedyjki, obecnie przesyłamy ci życzenia aby przedstawienia się udały. Numer Wieczorów kosztuje kop. 10. List przez nieuwagę zapewne oddałaś na pocztę bez marki, zapłaciliśmy przeto za niego podwójną należność t. j. kop. 14.

Małemu Czesiowi Jaskółka, gdy wróci, sama za pozdrowienia podziękuje.

Piszesz Czeremcho, że rozstawałaś się z żalem z powieścią „W Suchowskim dworze”, tylko nie podobał ci się jej koniec. Napisz o tem obszernie, a odpowiemy ci nasze w tym względzie zdanie.

Przypuszczamy, że w przyszłości będzie z ciebie Czarna Myszkę, nielada podróżniczka, kiedy dziś już marzysz o zwiedzeniu dalekich krain jak Egipt i Abisynia. Nie wątpimy też, że potrafisz podróżować z korzyścią, to jest, że z wędrowek wracać będziesz nietylko z zapasami miłych wrażeń, albumem pięknych widoków, ze wspomnieniem przyjemnie spędzonego czasu, ale przywieziesz także pożyteczne wiadomości i poglądy, które zaświadczać o korzyściach odniesionych z twoich podróży.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Czeremcha, Stokrotka, Chryzantema, Jedynacka, Kozak i Staś W.

